



## Lech Charewicz

## część V z VII

Sygnatura notacji: **N1369**

Data urodzenia: **20.06.1935 r.**

Data nagrania: **27.06.2019 r. , 28.01.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 63 min, część III: 47 min,  
część IV: 41 min, część V: 45 min, część VI: 63 min,**

Format nagrania: **video** **część VII: 35 min**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Lech Charewicz:** W tym momencie, kiedy żeśmy wrócili w 1945 roku z matką, nie mając absolutnie nic. Bo matka co miała, to wszystko tam, jak na lewo różnieli świnkę albo coś, to żeberka się kupiło, to pierścionek sprzedała, to medalik, tak że myśmy nic nie mieli. Koc żeśmy dostali, to teraz mnie tak żal tego koca, bo przetrwał on do późnych lat 60., cerowany, nie wiadomo, z czego on był zrobiony, z jakichś tam roślin, z PCK, to powinno dać to do Muzeum Niepodległości albo gdzie, a się na śmieci wyrzuciło. W każdym razie, byłem tam na tym podwórku wzruszony, bo ci osobnicy, którzy byli, to mieli pręty takie długie, żelazne i tak w tym ogrodzie. To prawda, że przed wyjściem to ludzie sobie tam dołki kopali, główkę Singera, czy tam parę łyżek miał albo coś ze srebra, jakąś cukiernicę, to mówi, wróć za trzy dni czy za cztery, bo ruski wejdą, to się wykopie i będzie, a tu tego, ale oni przyszli spod Warszawy szybciej. Tak że czego Niemcy nie zabrali, to potem jeszcze niektórzy okoliczni... Myśmy przyszli, nie weszliśmy do żadnego mieszkania obcego. W ogóle to było nie do pomyślenia, żeby komuś zająć, ale potem byłem świadkiem w Śródmieściu na Emilii Plater, nie będę mówił detali. Znany malarz, uczeń Matejki, miał piękne mieszkanie, oczywiście zajęte przez różnych ludzi, za zgodą kwaterunku, bo już taki był w 1945 roku. On ocalał pod Warszawą, przyszedł i ten były dozorca z Pragi, obecnie sierżant, w tym czasie wypchnął go, tu twojego już nic nie ma, tego właściciela mieszkania. Także nasze było wypalone i absolutnie nie było gdzie głowy położyć. Mieliśmy ciotkę na Pociskowej w Rembertowie, Nowym, koło Pocisku. Ona w takim domu niedużym na facjacie mieszkała, jeden pokój, tam była kuchnia, drewniane schody. A zaraz naprzeciwko baraku Pocisku, gdzie przed wojną była tam jednostka wojskowa, a w czasie okupacji jak jeździłem, to był obóz dla Rosjan, dla jeńców rosyjskich. Niemcy trzymali w Rembertowie. No i w 1945 roku na piechotę, jakimś pontonowym mostkiem, powoli, powoli, torami od Wileńskiej, tam dotarliśmy do tego Rembertowa, a tam już babcia, która wróciła absolutnie bez niczego, pogryziona przez psy, wylądowała po powsta-

niu pod Skierniewicami. I jak dowiedziała się, że tego, to do tej swojej córki Zofii, do tego Rembertowa przyszła. Brat dziadka, dwóch braci ciotecznych, ciotka, wujek, wszystko na kupie i wszy, i potworne pluskwy. Ja nie wiem, czy ktoś się zna dzisiaj na pluskwach, ale to jest taka swołocz, dokuczliwa, okropna. A na parterze major NKWD w 1945 roku, kwiecień, po Wielkiej Nocy. I co się dzieje na Pocisku? Okazuje się, że jest obóz akowców, Armii Krajowej z akcji „Burza”. I transporty wychodzące w Kawęczynie stały. Parowozy, pociągi z gwiazdą i tych chłopaków wywozili stamtąd. Byli często przebrani w niemieckie mundury, gnani do roboty, do sztabu generalnego na stary Rembertów, ale ludzie od razu się kapnęli, wiedzieli, że to są Polacy, nie Niemcy, im nie wolno było się odzywać. I teraz taka dygresja, u Biskupskiego przy Pomniku Poległym na Wschodzie i Pomordowanym, przedostatni podkład jest napisany „Rembertów”, a następny jest pusty, bo to jest dla wszystkich nieznanych. I ludzie mówią, no dobra, tutaj Kołyma, tutaj Charków, tu Katyń, a co ma Rembertów? Ja byłem na odsłonięciu tego pomnika, jestem na każdej uroczystości, i takie towarzystwo raczej doborowe było. Ja mówię, to ja wam powiem, co było. Może jeszcze 15-20 lat temu bym się bał, bo są mściwi. Ale powiedziałem, że byłem świadkiem odbicia przez kolegów, akowców, swoich kolegów z tego obozu w maju. Na dole, na parterze w tym domu mieszkał właśnie ten enkawudzista z tą żoną taką frontową. Jak żeśmy usłyszeli tam na tym strychu strzelaninę w nocy, to był koniec maja 1945 roku, nie wiedzieliśmy, o co chodzi. Ja z bratem ciotecznym do okna, też mogliśmy w czapę dostać. I widzimy postacie uciekające. I tak jak dzisiaj pamiętam, bo taka puszka, on miał ucho z drutem, bo potem leżał tam. To nie rzucił tego, tylko miał to, jak oni, chłopcy z lasu przyszli odbijać swoich dowódców i tych kilkunastu umówionych, dla żołnierzy tych radzieckich zrobili zabawę w Kawęczynie, tam postawili wódki dużo. Przygotowane to było, ale ten samochód, który zabrał tych kilku dowódców i tak dalej, nie mógł pomóc absolutnie w transporcie tej rzeszy, która się rozbiegła z tego obozu. A ci walili i ci wyskoczyli przez okno, ta z naganem na tym różańcu, takim, aluminiowe takie te, taki postronek przy tym był. Ja byłem świadkiem odbicia tego obozu, który jest ten podkład Rembertów, ale z Grochowa stąd, stamtąd, ruszyły jednostki, połapali tych ludzi, potem terkotał, ścieżka zdrowia była i oni tam do dzisiaj leżą, a grupa jakaś rekonstrukcyjna, poszukiwawcza nie dostała dzisiaj nawet, dzisiaj, zezwolenia na poszukiwania tam na tym terenie, żeby tam jakieś ślady znaleźć. Tak że to są takie rzeczy skomplikowane, a ja jako łepek to może na to nie powinienem w ogóle zwracać uwagi, ale ja to wszystko przeżyłem i trudno. Jest 9 maj 1945 roku, rusza pochód, tam z kuzynem poszedłem na ten plac i parę kroków za Bierutem szedłem do placu, do Grobu Nieznanego Żołnierza, gdzie tam się ludzie zastanawiają, że akurat ten kawałek został, a Pałacu Saskiego nie ma i tak dalej. Ja tam wierzę, że Niemcy jednak jako żołnierze to czasami potrafili uszanować drugiego żołnierza. I ten kawałek może tam mniej trochę podłożyli i tam zasypało, ale to ocalało, może jeszcze się doczekam, że zobaczę ten pałac. No i co? Przyszły smutne chwile. Kiedyś ktoś mi powiedział, jak startowałem w zarządzie głównym PTTK na stanowisko głównego technologa, już jako wykształcony technik, napisałem życiorys i zawołał mnie: „Czemu pan napisał, że pan był w domu dziecka? To panu tutaj w niczym nie pomoże, a raczej do pana zniechęci”. A w silnej konkurencji startowałem na głównego technologa zakładów wytwórczych PTTK, które wszystkie pocztówki drukowało, druki okolicznościowe, pamiątki, kajaki i tak dalej. Koło katedry było biuro piękne, dobra posada, dobra pensja. I tak sobie pomyślałem, czy to w ogóle można poruszać taki wątek. Ale tak jak powiedziałem... Cztery lata studiowałem i z dyplomem wyszedłem od urszulanek, 65 dni powstania, z gołym tyłkiem wygnanie z Warszawy, upokorzenie tam na wsi. Oni sami nie mieli dla siebie. Stamtąd powrót w te gruzy. I trafiłem do Boduena, na Nowogrodzką [dom dziecka]. Tam zbieranina, biedni od Wilna, prawie po 18 lat, od „Wilka”. Jacyś bezprizorni, pogotowie opiekuńcze, przychodzili w kożuchach Szwedzi, odpasieni, dobrze wyglądający, normalnie, Europejczycy. Oglądali nas, czasami dali jakieś dropsy, jakąś czekolad-

kę. I badanie do psychologa. - „A co tam będzie?” - „Będą różne pytania i tak dalej”. „Co jesteś wart”. I wywołują mnie, ja poszedłem tam. Kilka takich zadań było. No narysuj... Ja miałem chodzić do trzeciej klasy. Narysuj, mówi, deszcz pada i pani spaceruje. Nie zapomnę tego. Ja tam coś narysowałem. Skończyła się ta wizyta. Wracam na salę. I do mnie oni, ci współtowarzysze niedoli: „No i co? No i co? Coś tam narysował?”. Ja mówię, no taką i tego. „No i co? Namalowałeś z parasolką?”. Ja mówię: „Nie”. Zamarłem. Przegrałem. Źle wypadłem. Potem okazało się, że dostałem przydział do bardzo fajnego, dla mnie był fajny, Domu na Zbójną Górę w Radości do domu dziecka. Bo namalowałem, narysowałem tę kobietę. Bo mówię, skąd parasolka w czasie okupacji? Wojna. Skąd parasolka? Ale tam mnie pokazali, bo pytałem, w chuście takiej przeciwdeszczowej taką chłopkę, że była zabezpieczona przed deszczem, bo deszcz padał. W każdym razie wyszedłem nie na jełopa, tylko na chłopaczka takiego myślącego, dość dobrze ułożonego, znającego Warszawę, bo z tymi furmanami to jeździłem od fabryki Szychta, z babcią Wierą przez getto warszawskie. Widziałem to wszystko. Byłem na Targówkach, nie na Targówkach, na Służewcu. Poznałem Warszawę tą okupacyjną, widziałem te bunkry, jak oni szykowali przed powstaniem drut kolczasty, tam Białoruś to frajer, takie tam druty. Oni uniwersum to tak ogrodzili, a potem chłopakom kazal z Browarnej go zdobywać. Boże kochany. No i co? W lutym trafiłem, ale towarzystwo doborowe w domu dziecka. Kapitana Pogonowskiego, Zbyszek, syn, Zabielski, Wanda, Starachowski. Kapitalni ludzie, różni, od Zamojskich z majątku, syn leśniczego, którego zabili Niemcy za Armię Krajową. To nie były dzieci, dzieci oficerów. Różni. W każdym bądź razie tam nauczyłem się dużo czytać. Od Makuszyńskiego przez Maciusia I Króla tego, Robinsona, Gullivera. Trzy kilometry do szkoły, na piechotę, o kromce chleba z kubkiem takiego mleka w proszku. Śnieg padł, to ze Zbójnej Góry do szkoły było trzy kilometry. To szedł ten pierwszy, który miał lepsze buty, potem dwie deski, kamień i ktoś go ciągnął, że śnieg się tam... taki pług żeśmy zrobili. Poznawałem przyrodę, bo jest to piękne miejsce. Ochynie, rosiczka, czajki, traszki, kielbie, glinki, tyżwy, takie, jakie tam były, przykręcane, z Karcelaka mi matka kupiła. To tam jakoś żeśmy się ratowali. No i co? Ciekawy taki moment, siedzimy na stołówce, każdy tylko patrzy, gdzie większy glonek, bo się mówiło na kromkę chleba, porcję. Były rozkładane i wpadało się, gdzie większy, bo tam do syta to tam nigdy nie było. I pani kierowniczką wychodzi i mówi, że mamy radosną wiadomość, że Duńczycy zapraszają polskie dzieci do siebie i nam przypadł limit sześciu dzieci. A mnie te łebki, sąsiedzi z łózek, bo tam tych łózek było cała masa, tam na jednej sali to spało kupę ludzi, to pytali się ci, co byli tam, ja byłem w czasie powstania tu w Warszawie, a oni byli z tamtej strony, już w tym domu dziecka albo z tamtej strony w Helenowie, w ośrodku. To Piłsudska zakładała, piękny ośrodek, dla takich dzieci. I oni mnie się tak wypytywali: „A jak to było, a czy walczyłeś, a czy coś pomogłeś w powstaniu, a co tego, a co owego”. I takie były przepytывania, takie właśnie ciekawości, ale tamta wiedziała, że ja jestem z tą traumą i wpisali mnie w tę grupę sześciu. Szwedzi się zajęli do Otwocka, badania, prześwietlenia i trzeba było jako tako się uczyć. Jak ja poszedłem po półroczu do trzeciej klasy, jak zobaczyłem tam 48 razy 7, jakiś ułamek albo wołacz, mianownik, albo tego, a ja miałem rok opóźnienia, bo powinienem chodzić w 1944 roku do szkoły trzeciej, a ja tylko byłem na poniedziałku i trafiłem tylko tutaj w 1945 roku. Też nie chodziłem, bo jeszcze tam kiedyś opowiadałem, że znalazł się stryjek, który był z Pawiaka wywieziony do odżywiania pod Zieloną Górę. I jak tam było wyzwolenie, to myśleli, że to Polska i wstąpił do milicji, zrobili taką milicję, ale w ratuszu głównym w Bytomiu Odrzańskim był jednak komendant rosyjski i ogatocali tam ze wszystkiego to miasto. A ci wojowali z nimi, że to Polska, to poszedł do kicia, siedział bez dowodu, jak go po amnestiach tam w 50. latach wypuścili za powstanie z bronią przeciwko Armii Czerwonej, to przytułił go były jakiś pułkownik Wojska Polskiego przedwojenny do mieszkania na Ochocie i się rozniósł po Ochocie, że Rysiek wyskoczył, psychicznie już nie wytrzymał, popełnił samobójstwo z okna. Ale ja też tam byłem, bo żeśmy

szczęścia szukali. W wychodku pociągowym cztery osoby nas jechało, a ci szabrownicy się pytali, co ty tam masz w tym tornistrze, a ja miałem parę kredek, piórnik blaszany i parę kajetów, jak żeśmy wracali stamtąd do Warszawy. Bo matka powiedziała, że tam nie będzie i że tutaj sobie jakoś radę damy, ale wtedy trafiłem właśnie do tego domu dziecka. Cztery lata odbębniłem, ale trafiło mi się, że właśnie wybrali mnie, dwie dziewczynki, trzech chłopców, czy czterech, po badaniach, po tym, po tamtym, 1946 roku, przed końcem roku, do Gdyni żeśmy pojechali. Zobaczyliśmy ze wzgórza morze, no wracamy z powrotem, to nie dla nas. Horyzont, ta woda, że my mamy tam gdzieś popłynąć. Popłynęliśmy, pokazał nam kapitan, „Melchiorem” płynętem, statek taki drobnicowy, w ładowni były materace, tam żeśmy leżeli, jakieś żeśmy prowianty dostawali, ale już oddech taki przygody, tutaj Bornholm pokazał i Kopenhaga. w Kopenhadze gulasz węgierski, wspaniałe kluski, western w kinie - Tivoli, ogród zoologiczny, Pałac Królewski, zmiana warty, inny świat, okręty takie wielkie, statki. I dzielą, dziewczynki oddzielnie, chłopcy oddzielnie, patrzymy, a tu polscy harcerze: „Jedziecie na obóz”. 105 chłopaków, niektórzy już do gimnazjum chodzili. I na szczyt Jutlandii, Holstebro, Klosterheden, koło Lemvig, piękne takie miasteczko, barakowe, ale sala gimnastyczna, w ogóle sypialnie, izba chorych, kapitalnie to było wszystko urządzone, boiska sportowe i tak dalej. I harcerz Rzeczypospolitej Władysław Godłowski był naszym komendantem, jego żona Krystyna pomagała mu. Major, lekarz, Duńczyk, wojskowy, pedagodzy Duńczycy, wychowawcy, po ośmiu w pokoju, zastępy, dostaliśmy kawał lasu, każdy taki zastęp, macie budować tam swoje, na trzy pióra, jak się zdaje, szałas, ognisko, bramę. Komisja będzie, będą nagrody, były sporty, było to wszystko, nie było polskiego księdza, Czech przyjeżdżał, odprawiał mszę na sali gimnastycznej. I tam, co mam na fotografii, zdjęcie właśnie przyrzeczenia harcerskiego, i tam właśnie ten krzyż, ten krzyż serii DN numer 71, otrzymałem stopień młodzika, dostałem kilka sprawności, które do dziś posiadam, bo jestem dobrze gotującym kucharzem od harcerstwa. Cztery miesiące minęło jak w kinie... i słyszymy, że Duńczycy chcą nas zostawić do pełnoletności, kształcić, wychowywać, nie namawiać do wiary, nie namawiać do obywatelstwa, pełnoletni, ale z kraju wiadomość, że największy skarb to dzieci i mamy wracać wszyscy. Niektórzy mieli do kogo, niektórzy nie, ale tęsknotę już za krajem poczułem tam. Dobrobyt był bardzo wielki, wspaniałe jedzenie, opieka, wycieczki, kieszonkowe. Finki się kupowało, noże fińskie, oryginalne, mam do dziś, nie wiem, jak cudem ocalało to. Ale czasami przychodziły listy z Polski, a były wtedy takie znaczki, prymitywnie wydane, ale dwustronne, że z jednej strony był na przykład przed zburzeniem Kościół Świętego Krzyża z Chrystusem, a na drugiej połowie był ten kościół rozbity i Chrystus leżący na bruku z dłonią ku niebu. I takie inne obiekty były. A Duńczycy sobie tego, że to komunistyczna propaganda i tak te szeptanie jakieś takie do nas tam dochodziło. Ale gdy nadszedł czas powrotu i oni nam towarzyszyli, taka Greta była, pedagog, i przez Szwecję, z Malmo promem Victoria, to jeszcze gnejs nam blokował wejście do Gdyni, falochronem się przepływało. Dojeżdżamy do Dworca Wschodniego i z tego nasypu widać było panoramę zburzonej Warszawy. I ja pamiętam, ona była między naszymi przedziałami, ta opiekunka, ten pedagog, Dunka i popłynęły jej łzy, jak spojrzała na tę panoramę wypalonego miasta, że jednak to nie propaganda, tylko prawda. Oni tam nic specjalnie tej okupacji, bo Dania tam była od razu zajęta przez Niemców. I jak myśmy tam jeździli na takie wycieczki, i oni nam pokazują, tutaj są jeńcy niemieccy, to jest tego. Patrzymy, siatka, eleganckie baraki, żadnego wartownika, ale oni nie mogą opuszczać tutaj tego miejsca. Tak że dysproporcja w traktowaniu była ogromna. No i do dzisiaj tak jakoś chyba jest. Cieszę się, że w Radości była bardzo dobra szkoła. Matka myślała, że na nogi stanie, zabrała mnie z szóstej klasy. Trafiłem do Warszawy do służbówki takiej, 2,5 metra na 1,70 metra, na Poznańskiej 38, na parterze, można to obejrzeć, ciekło po olejnej ścianie, kątem. No i szkoła numer 1, Marszałkowska 95, przy niemieckich pozycjach, bo byli w Polonii tu i tam, 11 kamienic ocalało w Alejach Jerozolimskich. Ocalał ten róg Marszałkowska

95 i w apartamentach przedwojenny pedagog, starszek z białą bródką, nie pamiętam nazwiska, pan kierownik, założył szkołę numer 1 w Warszawie. Ja zostałem w ciągu tam przyjęty do tej siódmej klasy i trafiło mi się, że siedziałem z synem dyrektora cyrku Din-Dona, Edkiem Mancem, a cyrk stawał tutaj, gdzie teraz jest „patelnia”, gdzie ten dołek taki, gdzie się wchodzi do metra. Wielki cyrk. Edek w ramach przyjaźni, po przerwie na tresurę lwów, wpuszczają nas bez biletu, stamtąd żeśmy robili wyprawy do niezamieszkałego przez zwierzęta ogrodu zoologicznego, nad Wisłę, a dookoła gruz, gruz i gruz, i w tym gruzie gdzieś tam jakaś framuga, jakieś drzwi, jakiś kolega tu mieszka, ten tutaj mieszka, na Pańskiej ulicy, tutaj gdzie Pałac Kultury stoi, były jakieś ciągi Złotej, Chmielnej, Próżnej. I tak się odtrząsałem z tą Warszawą. Tam, gdzie Niemcy bali się tyfusu w czasie okupacji, szczepili nas na Karowej w Instytucie Higieny, w tym „okrąglaku”, był teatr dla dzieci. I sztuka była: „Pan Tom buduje dom”. „A w pokoiku tym, co na górze, musi balkonik maleńki być”. I marzenie o własnym mieszkaniu, o własnym kącie, żeby można było głowę położyć, książkę poczytać. To było straszne. I z tej służbówki... straszne warunki i strach, że tam główny właściciel tego mieszkania przyjdzie i mu się to nie podoba, bo mu się nie podobało. Tam przychodziła do właścicielki tego głównego pokoju, do siostry ciotecznej, Alina Janowska, tam ją poznałem w 1945 roku i po latach jak jej przypominałem, to najpierw udawała, że nic nie wie na ten temat. A ja byłem świadkiem różnych rzeczy, bo ta pani właścicielka, młoda, piękna kobieta, wyszła za profesora, laryngologa. Mieli córeczkę, a narzeczony gdzieś zginął w czasie wojny, przed wojną. I na tę Poznańską któregoś dnia w mundurze oficerskim lotnika przyszedł oficer, właśnie który wrócił z Anglii, narzeczony. A ona była już żoną tego dużo starszego profesora, a to była siostra cioteczna Aliny Janowskiej. I potem, kiedy w „Baszcie” fotografowałem Alinę, opowiadała mi o dalszym losie tej rodziny, już oswoiła się z moją biedą, że ja nie byłem żadnym jakimś podglądającym szpiclem ich rodzinę, tylko też ofiarą wojny. Ona się nie obnosiła, że zdobywała PAST-ę, że walczyła, tylko mówi, że z knajpy, róg Marszałkowskiej, nosiła kaszę. Często jak doniosła pół kubek zasypanego piaskiem i gruzem dla chłopaków. A dzisiaj niektórzy wypinają się bardzo, mają wszystkie odznaczenia, wisiory. Jeszcze teraz, jak zobaczyłem wykład, wysłuchałem pana Żebrowskiego na temat kilku osób, które zdawały mi się postaciami nieskazitelными. I jak teraz porównam to, że mnie się często zarzuca, jak jestem na uroczystości i tam jakieś drobne pamiątki dają i mnie omijają, bo mówią: „Za młody jesteś, co Ty tam wiesz?”. Ja na 65 dni powstania byłem. 1800 dni okupowanej Warszawy przeżyłem. Doskonale pamiętam, a straciłem ojca, jak miałem trzy lata, jego dobroć, spacer, ostatnią defiladę, jak siedziałem na postumencie Kopernika, jak szli od Placu Zamkowego do Belwederu żołnierze Polscy, 3 Maja, chyba ostatnia defilada w Warszawie. I ja to pamiętam. I mówię, że przeżyłem 65 dni powstania. A taki stojący obecnie na stanowisku, garniturek za 20, zegarek za 60: „Powstanie było 63 dni...” i czeka na reakcję, jaki to on mądry historyk. Ja mówię: „Tak!”. Ale ja własny dom w powstaniu straciłem, jak starówka padła i padło drugiego Powiśle, i na łaskawy chleb w bramie mieszkałem i w takiej sanitarce, samochodzie starym na podwórku Marszałkowska 77. 5 października z ostatnimi wychodziłem, powstańcami. I tak sobie liczę... Skończyłem tę siódmą klasę i oni się dziwili, ci nauczyciele: „Gdzieś ty chodził do szkoły?”. Ja mówię: „W Radości”. A w Radości to były te świdermajery, letnie domy ludzi zamożnych na tej trasie Świder - Józefów, Międzyzlesie - Radość, szczególnie Radość, bo Falenica to już było takie raczej środowisko mniejszości narodowej przed wojną i tam takie miasteczko. I był bardzo wysoki poziom. Były tam dzieci, które miały tam letnie domy, no w dobrym bycie. Poziom był bardzo wysoki, tak że ja miałem na siódmej klasie na piersi piątkę i maszerowałem Alejami Jerozolimskimi w kierunku tutaj właśnie odbudowanego Mostu Poniatowskiego jako przodownik. I co dalej... Matka nie miała mieszkania. Starania były, koniecznie mnie chcieli ulokować w tak zwanym „naszym domu”, w „czerwonym domu” wychowującym w nowym duchu, na Bielany. Matka powiedziała tej komisji, że mnie tam nie odda i nie

wiem, jakimś tam swędem trafiłem do Antonina na Barską 4, do bursy, do księży orionistów. I tam dyrektorem był ksiądz Bronisław Dąbrowski, zakładnik z Powstania Warszawskiego w domu akademickim. Jedyne praktycznie zwycięstwo to było właśnie zdobycie tego Antonina, kompleksu przy kościele świętego Jakuba. W czasie powstania ksiądz Batory prawie na łożu śmierci przyznał się do krewniactwa z królem Stefanem Batorym herbu Wilcze Zęby, Kły, w Żabiej Woli, majątek zarekwirowany w czasie Powstania Styczniowego, jeden z wychowawców, uczeń Parandowskiego. Mądrzy ludzie, dyscyplina. Dostałem się właśnie do tej bursy. Nie powiem, księża nie namawiali do żadnych jakiś dodatkowych modłów, do spowiedzi, do jakichś tam zeznań klerykalnych albo jakichś tego. Nie, tego nie było.